

Urodziłem się 23 czerwca 1954 r. w Grójcu, w środę.
1 września 1957 roku zachorowałem na polio, wskutek czego dzieciństwo spędziłem w szpitalach (Warszawa, Zagórze k. Wiązowny) oraz sanatoriach (Wleń, Jastrzębie-Zdrój, Busko-Zdrój). Dlatego, że przewlekła choroba poczyniła spustoszenie, wyjeżdżałem z domu rodzinnego – z okolic „Kwitnącej Jabłoni”.
Do szkoły średniej uczęszczałem w Zduńskiej Woli (Zasadnicza Szkoła Zawodowa Nr 2) i Łodzi (IX Liceum Ogólnokształcące dla Pracujących).
Dzienne studia magisterskie ukończyłem w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie. (Jestem niepraktykującym mgr. pedagogiki specjalnej).
Debiut prozatorski („Na przełaj”, 1972), zaś poetycki („Nowy Medyk”, 1973). Mieliśmy Białe ściany (Wydawnictwo Iskry, 1977), debiut książkowy (poetycki). Bądź zdrow!, (Oficyna „Z bliska” Biblioteki Publicznej w Gołdapi, 2015), debiut książkowy (prozatorski).

Uprawiam małe formy literacko-dziennikarskie oraz układam druki zwarte o charakterze antologicznym.
Nie skrobię wierszyków, aby kogoś strofować. Taki śmiały to nie jestem. Jak przystało na zodiakalnego Raka, wiele spraw mam do tyłu, więc liczę się z tymi, co są na przedzie oraz na samym końcu.

I	II	III	IV	V	VI	VII	VIII	IX	X	XI	XII
P. K. P.											
Bilet strefowy											
Ser. Z Nr 044263											
Ważny na poc. osób. 2 kl.											
Nr pod. <i>[signature]</i>											
1	Warszawa Wilanów					Szczaki Złotokłos					17
2	Warszawa Powsinek					Tarczyn Wąsk.					18
3	Warszawa Powsin					Pawłowice k. op.					19
4	Klarysew					Las Lesznowolski					20
5	Jeziorna					Lesznówola					21
6	Rozjard Oborski					Grójec					22
7	Skolimów					Kępina					23
8	Chylice					Mała Wieś					24
9	Chyliczki					Skowrony					25
10	Piaseczno Północne					Goliary					26
11	Iwiczna					Wola Lęciszczka					27
12	Warszawa Dąbrówka					Kozietuły					28
13	Mysiadło					Mogielnica					29
14	Piaseczno Piem.					Jastrzębia					30
15	Piaseczno Miasto					Stryków Świdno					31
16	Siedlisko Załajewiec					Przostowiec					
17	Stefanów					Nowe Miasto n/Pil.					
18	Chojnów Pilawa										
19	Baniocza										
20	Domanówek										
21	Kąty Wąskie										
22	Góra Kalw. Wąsk.										
23	Zalesie Wąsk.										
24	Zalesinek										
25	Piaseczno Gołków										
26	Głusków										
27	Rumów										
28											
29											
30											
31											

Opłata za przejazd w zł				Kontrola			
Norm.	33%	50%	80%				
1	1	1	1				
2	2	2	2				
3				1	1	1	1

Czesław Mirosław Szczepaniak
W Kopanie, tam gdzie...

**Czesław Mirosław
Szczepaniak**

W Kopanie, tam gdzie...

Tarczyn 2019

Projekt okładki:

Paweł Piotr Szczepaniak

Opracowanie typograficzne, skład i łamanie:

Zbigniew Janeczek – BILBO Graficzne Studio Komputerowe,
95-060 Eufeminów 10A

Redakcja, korekta:

Alfred Kohn

© Copyright by Czesław Mirosław Szczepaniak i Grażyna Szczepaniak

ISBN 978-83-945398-6-3

Wydawca:

Gminny Ośrodek Kultury w Tarczynie, ul. J. Stępkowskiego 17,
05-555 Tarczyn, www.gok-tarczyn.pl, e-mail: gok@tarczyn.pl

Druk i oprawa:

Drukarnia J. J. Maciejewscy, 06-300 Przasnysz, ul. Gdańska 1

Na stronie tytułowej zamieszczono bilet, który odnalazłem w papierach, wypisany przez konduktora z pociągu wąskotorowego relacji Warszawa Południowa–Piaseczno–Tarczyn–Grójec–Mogielnica–Nowe Miasto nad Pilicą. (Pracownik PKP kopianym ołówkiem roznosił na wydruku miejsce docelowe).

Szlak kolejowy liczył około 84 km. Nie mam biletu, jaki kupowało się w kasie dworcowej – tekturowy, mały kartonik, trochę większy od pudełka od zapalek. Brązowy i zgrzebny, jak ówczesne czasy.

Lubiłem podawać bilecik pracownikowi PKP, który za bardzo się nie kwapił, żeby go przeciąć zębem ręcznego kasownika. Czułem się w takich chwilach jak ktoś, kto jedzie pociągiem dookoła świata.

Przypomnę, że kwity sprzedawał konduktor i proletariat monet chował do *lewej kieszeni*, czasami nie wręczając nic w zamian (sic!). I nikogo nie trafiał przysłowiowy *szlag*, najważniejsze, że jechał, a nie że dał w łapę. W PRL-u różnie ludzie radzili sobie, żeby przeżyć. *Jak nie ukradnie, to nie ma* – mawiano. (Dzisiaj to samo robią, ale się dzielą tym, co świsną. Tak gadają).

Mam w kolekcji wejściówki, które zółkną. To niemy świadek tego, że odbyłem (niejedną) peregrynację koleją wąskotorową, zwaną często grójecką. Dzięki temu nabyłem praw i mogę się wypowiadać o tym, co miało miejsce w okolicy *Kwitnącej Jabłoni*, oraz w przedziale II klasy wagonu dla palących.

Na bilecie strefowym wypisano przy niektórych miejscowościach *Wąsk.(torowe)*. Na szlaku *ciuchci* była: Góra Kalwaria Wąsk., Zalesie Wąsk., Piaseczno Wiadukt Wąsk., Tarczyn Wąsk. Dodawano *Wąsk.*, żeby było wiadomo, że po sąsiedzku są pociągi o rozstawie szyn, tj. 1435 mm. (Przypomnę że szyna składa się ze stopki, szyjki i główki). Nasza *ciuchcia* miała tor o szerokości 1 metra. Oprócz żartów, komplementowano ją, że jest niezawodna i można według rozkładu jazdy śmiało nakręcać zegarek. I co najważniejsze – tych, co czekali na peronie, zabrała. Wszystkich. Była pewniejsza niż podmiejski autobus, czy warszawski tramwaj.

Gwoli ścisłości historycznej odnotuję – 15 maja 1914 roku uruchomiono połączenie kolei wąskotorowej z Tarczyna do Warszawy Południowej oraz do Grójca. W 1917 roku położono szyny do Mogielnicy, a w 1924 roku do Nowego

Miasta nad Pilicą. (3 października 1954 roku otwarto szlak kolei szerokotorowej do Pilawy i Skierniewic via Tarczyn; zwana S-Ł lub po prostu *esetka*, bo łączy Skierniewice i Łuków).

Droga żelazna, wąskotorowa, jest częściowo zlikwidowana, za to *szosa krakowska* – posila się koreczkami samochodów. Coś musi się skurczyć, aby się z drugiej strony rozkurczyło.

Karnecik kolejowy ma wartość sentymentalną.

Przypomnę, że czerwone – zielone – niebieskie – odcienie żółci i pomarańczy – takie kolory były w (szarych) czasach, które opisuję. Stalowe barwy miały przewagę. Na budynkach stacyjnych (z półokrągłym okienkiem zwanym *wole oko*) leżała cynobrowa dachówka. Stacyjki – miejsca, gdzie był wysyp baśni. Tu pośpiechu nie było widać; nikt z czasem się nie liczył – pasażerowie zatrzymywali się, żeby zagadać i posłuchać, oraz ponarzekać. Była wiejska wolność i otwartość, choć może nie do końca, bo ludzie się odgradzali: miedzą, żywopłotem, siatką albo kolczastym drutem. I jak daleko pamięcią sięgnę, narzekali, jak Polacy. Spędzali życie na dworze, czasami chowali się w cień. W nocy ujadły psy, o zaranku koguty piały. Dzień budziły furmanki z bańkami mleka oraz stuk podków, co trafiły na drogę z kocimi łbami. Czasami ktoś peregrynował szlakiem rzemieennego dyszla, bo było mu za ciasno – wyjeżdżał i powracał w południe albo o szarej godzinie. Dzięki wioseczce odkrywałem rąbki polspolitości; przez wieś niosła się wieść gminna:

*... a odjechać od niej nudno,
a przyjechać do niej trudno!...*

Było. Minęło, więc spróbowałem zawrócić tam, gdzie był początek. Czyli do chwil, z których wykrzesalem wierszyki, choć wtedy to była proza, pełną gębą. Trawestując przysłowie – słowo się rzekło, Kopana u płotu, z drzewami wysokopiennymi i pastuszkim z fujarką albo grającym na listku lub źdźbłe trawy. Liryki wydłubałem z prozy, jak z owoców. To są pestki, które osiadły na dnie kielicha kwiatów. Przebrałem to, co wpadło do pamięci, z kolei losu. Na pamiętkę, co bywa jak niespodzianka.

Addenda sadownicza

Sad nigdy się nie wydarł na mnie,
choć był pod Grójcem, nawet gdy się
buntowałem, rozpoznał i zaprosił,

za mną szedł przez Kopanę¹,
rozstaliśmy się na widełkach drogi, co prowadzi
na Skrzeczeniec i do *Patacu*,
odprowadzał do domu,
a jesienią zęgał, kiedy zabierał mnie pociąg
z wąskich torów, żeby dowieźć, tam gdzie
sunęły szybkie pociągi i były długie perony,
oraz trylinka²,

sad przez zimę traciłem z oczu,
widziałem go dopiero, gdy zakwitał i
z płatków się otrząsał, bo zawiązał lato,

tego sadu już dawno nie ma,
odeszli też ludzie, co go wyrwali,
zostały o tym Białe wiersze albo
z rymem, w którym sad jest owocami
nadziany, ma pod pachami podpórki,
nikt nie wieśza stracha, to znak, że tych, co
wyciągną rękę, nie ma kto pogonić i grzechem
nie zaznaczyć i wygoni precz.

¹ Kopana – nazwa miejscowości wzięła się od kopania kamieni i karczowania drzew. Tak mawiali starzy ludzie. Z pewnością jest coś na rzeczy, bo dzięki ich pracy powstała okolica *Kwitnącej Jabłoni*. Zatem powinno się mówić i pisać *Kopana*, *do Kopanej*, *z Kopaną*. Mieszkaniec to *kopanianie*, *kopanianka*, *kopanianie*.

14 marca 2015 roku napisałem e-maila do pana prof. Jana Franciszka Miodka w sprawie odmiany wioseczki Kopana.

Otrzymałem odpowiedź:

Szanowny Panie Czesławie!

Nazwom typu *Kopana*, *Jabłonna*, *Miłosna*, *Warszawa*, *Częstochowa*, *Kolbuszowa*, *Limanowa*, *Ciasna* polski system fleksyjny oferuje dwa typy odmiany: albo rzeczownikowy, albo przymiotnikowy i tylko zwyczaj decyduje, który model deklinowania zostanie wybrany (np. *Warszawy*, *Częstochowy* – ale *Limanowej*, *Kolbuszowej*). *Blisko moich rodzinnych Tarn*. [nowszych] *Gór* jest miejscowość *Ciasna*.

Jej mieszkańcy mówią, że są z Ciasny i mieszkają w Ciasnie. Tak że Kopana wcale nie musi mieć przymiotnikowego paradygmatu odmiany z Kopanej, w Kopanej, ale rzeczownikowy z Kopany, w Kopanie. To jednak musi już Pan sprawdzić.

Z wyrazami szacunku pozostaję

Jan Miodek

²Trylinka – kostka brukowa w kształcie sześciokąta, jak plaster miodu, charakterystyczna dla śląskich i łódzkich podwórek (i nie tylko!). Szara płyta przypominała plaster miodu. (Sześciokątne były tzw. portrety trumienne. Podstawa była szersza niż kąty boczne. Z pięciu boków ścinano, żeby była większa podstawa. Konterfekty są ikonografią *jaśnie urodzonych*, sławetnych). Kostkę układano na drogach, po których przejeżdżał ciężki sprzęt (samochody ciężarowe, traktory z przyczepami, wozy z węglem). Tam, gdzie był ruch towarowy, parkingi, składowiska, nasypy oraz tymczasowe drogi, układano trylinkę. Nazwa pochodzi o nazwiska wynalazcy Władysława Trylińskiego, który 15 września 1933 roku opatentował nawierzchnię z płyt sześciokątnych – był też wynalazcą żelbetonowych podkładów kolejowych zamiast tradycyjnych drewnianych podkładów kolejowych impregnowanych olejem kreozotowym. (Spały nie przewodziły prądu i tłumiły drgania).

Antenaci

Moi antenaci przyszli z lasu, pola, ze strzech,
z podwórek, gdzie płot wyplatano z chrustu jak koszyk,
czyli z młodych pędów wierzb, po odkorowaniu,
chwycili się rzemiosła, bo głód zbyt mocno dokuczał,
dzięki zaradności, już nie byli do ziemi przypisani,
z małych wiosek spod Grójca oraz Tarczyna,
z sadów, w ziemię się zapadli i zaszyła ich darń.

Á propos

We mnie odpoczywają sady,
które wyrąbano,
mówiąc wprost – powstały nowe
ogrody, które uciekły spod piły,
więc nisko się od ziemi odbiły i roz-
sadziły i poszły w siną dal.

Było

To, co było, wsiąkło w ziemię,
a wiatr udeptał murawę,
co na przestrzał sadów, jak przeciąg,
w stronę pól, pod ścianą lasów, przepadł,
i nikt już tego nie poruszy, bo
odeszło i zasnęło, i nie unosi się,
więc próbowałem opisać i
ożywić, co było i czmychnęło
przez okolicę *Kwitnącej Jabłoni*,
resztę poniosło i się spolszczyło,
zostało na dobre i złe – poza czasem.

Chyba

Chyba mi tego nie wypomną, że przez
życie przeszedłem, zostawiając ślady
po chorych krokach, za nimi zdążyły
kule jak styliki, ze zdrowego drewna i
pieczętowały okrągłymi stemplami z gum,
co jak znaczek do widokówek albo do
listów wrzuconych do kopert, które
powinno się nawilżyć, żeby słów nie wywiało.

Czereśnie z okolic *Kwitnącej Jabłoni*

Wchodzono na drabiny, co pięły się po
szczęblach, zrywano czereśnie do wiklinowych
koszyków z pałakiem, jak łuk napięty,
liście otrząsały się z rosy i błyszczały,
kiedy podmuchał je dobrze przeciągnął,
w sadach dyszał czerwiec z lipcem, więc
umawiano się na pierwsze sianokosy,
pozwalano zbożu dojrzeć,

zrywano czereśnie – wchodzono na
drabiny, co pięły się po szczęblach,
do korony, gdzie najśłodziej,

kiedy szpaki napoczyły czereśnie, to był znak
między niebem a ziemią, że już sezon otwarty,
że można doskoczyć do chmury,

czereśniowy sad po inwazji szpaków,
z owoców wystawały pestki sokiem zbryzgane,
wyglądały jak pikuś, więc nimi strzelano,
naciskają kciuk i palec wskazujący,

to było jak wspomnienie włożone między bajki,
o szewczyku, co potrafił uszyć buty z *wołowego ryku*,
i Janie Kusym, co *makiem ptaki strzelał*.

Czub czereśni

Czub czereśni, zwany *koroną*,
wyraj dla szpaków i wron,
rozdziobane owoce spozierają zza
liści pochłapanych sokiem,
strach z nimi sobie nie radzi, choć
strzelają z pestek jak z obrzynka.

Darń

Unieruchomiona, acz pełna życia,
zakorzeniona, szarpie ją wietrzyk,
przeczesują obłoki, to kołderka,
gruby naskórek, miękko-twarda,
jest niska i bosa, jak żdźbła,
bywa dla ziemi zasiekiem, gdy
zerwie się ulewa, zarośnięta,
kurczy się i rozpycha, bo ją ciągnie
dzikość niepojęta, industrializacja
trzyma nad nią żelazną łapę albo
łyżkę i zdziera jak naskórek,
to spis treści księgi wiatru.

Drzewa wysokopienne

Tylko wysokie drzewa biorą ptaka, co przycupnął,
w obronę, zaszywają go liśćmi i gałęziami przed wichurą,
kiedy deszcz zbiera z chmur – a czasami gradem obrzuci.

Dzieciństwo

Łzami miałem przetarte dzieciństwo,
od 3. roku życia – w Grójcu to się stało,
tam gdzie zawiązano mój pępek, upadłem,
jakkby miał za ciasne buciki.
Nie nabiłem sobie guza, bo matka zdążyła mnie
chwycić. Jeszcze. A potem to różnie bywało.
Chromałem i tak przez życie przeszedłem.

Etymologii nazwiska

Nieraz się zamyślam nad swoim nazwiskiem:
po mieczu jestem Szczepaniak, zaś
po kądzieli Grzondkowski,
a więc ze *szczepu* i *grządek*,
z *sadownika*, który (czasami) przesadza
jak *ogrodnik*.
Bywam chytry na słowa, z którym zdanie się liczy.
Hojność mnie bierze, kiedy rozmyślam.

Furtka

Co to za furtka, co nie skrzypi
na właścicieli i gości?
Tylko zawiasem daje odgłos, że
rozrusza się i ogarnie wszystko,
więc nie trzeba jej podpierać już
kamieniem; wystarczy wyskrobany
z drewna skobelek.
Mocno opiera się o bramę,
jak przysłowie z ludu wzięte,
popiskuje jak przymówka,
póki nie zamknięta.

Gdzie czereśnie, wiśnie...?

Gdzie są ci chłopcy, co zrywali czereśnie
na wysokich, drewnianych drabinach?

Gdzie się podziały dziewczyny, co stały
na szczeblach z koszykiem z pałąkiem?

Gdzie są czereśnie i wiśnie, z których
szpaki wyleciały jak pestki z procy?

Widzę ich, jak schodzą po stopniach
w słodkie wakacje, dźwigają pełne kosze,
skubią, a potem do siebie strzelają pestkami,
wysypują świeżo zerwany owoc
do skrzynek albo platonów, zbitych
jak płot z prostych nieheblowanych deseczek,
dziewczyny wybieraj liście, czasami robią
kolczyki z czereśni i słodko się uśmiechają,
puszczają filuternie oczko do stracha, którego
wiatr poniewiera. Nie wiem, czy się boją, czy kuszą?

Młodzi rwacze, z drabin na czereśniach pod
Tarczynem i Grójcem. Innymi słowy: z Pamiątki,
Rembertowa, Bromin, Starej Kopanej, Skrzeczeńca,
Pawłowic i Lasu Lesznawskiego, i tak dalej,
i wyżej, czyli między niebem a splotem ziemi.

Gdzie te czasy?

Gdzie te czasy, w których kłębek włóczki spadał z kolan matki i
toczył się po podłodze, a ona nabierała na drutach oczka, drobiła
drobnym ścięciem – dłubała dla nas, czasami obcym sprzedawała,
nieraz pruć w poniedziałek to, nad czym się trudziła w niedzielę.

Gminny szpak

Objada w Kopanie i Rembertowie czereśnie i wiśnie.
Ma w ognie wszelkie strachy.
Jest jak felietonista, który lubi wpaść na chwilkę.
Tyle jego, ile (słodko) sobie dziabnie, do pestki,
przy okazji pochłapie liście i... pryśnie.

Grójec

Grójec był znany z bajeru,
o którym też mawiali *nawijka*.
Miasto mojego urodzenia,
co poczęło się na wsi Kopana;
rzadko do grodu nad Molnicą
wpadałem, więc zachowuję do
Grójca szczyptę nieśmiałości,
podobnie rzecz się ma z Tarczynem.

Grójecki wtřet

Grójec – miasto od satyry, prozy mówionej,
w czwartek gwarne jak targ – w święto dyszła,
dobrze trzymające się na powierzchni,
nie oderwane od *tu i teraz*, dalekie i bliskie,
jeszcze nieznane – pełne paradoksów;
ździebko ociera się o fraszkę, mocno wytarte anegdotą,
która usta otwiera do śmiechu – brzęczy jak dwa klucze.
Jest jak słoma, co wpadła w piastę wozu, więc za kołem się
wlecze, raz jest *na wozie* albo *pod wozem*. I się toczy, i popisuje na
wybojach, jak drzewiej żuraw u studni, którego
można spotkać jeszcze na starych płótnach albo literaturze, co
upiększała przez wieki chałupy zbite z desek – słomą nakryte,
oraz objęte chruścianym płótem podwórka jak klepisko.
Z gołębiami na kalenicy –
(Pamięć wysycha jak woda życia – odkleja dzieciństwo i młodość,
kiedy jeździłem ciuchcią do Grójca, południową stroną).

Jak

Jak weźmiesz za dużo ciężarów, to nie polecisz, zostaniesz wśród swoich.

Jak mogę wrócić do korzeni, skoro wyrwano sad dzieciństwa i wszedł las, bez pardonu zaciemnił i po motylach.

Można wkroczyć z błyskiem siekiery albo z pilarką łańcuchową, co ma zęby spiekane z węglików.

Kiedy ręka złapie piłę, to już wiadomo, że będzie polesia.

Jaskółki

Zobaczyłem jaskółki,
które z burzy przyleciały,
więc się zląkłem, stojąc na
łące, że nie zdążyłem się skryć,

końcem skrzydeł szastnęły
bose trawy, zszarzało niebo,
zrobiło się groźnie, i nagle
z błękitu powstał kleks,
piorun w ziemię kropnął,
aż się zatrząsnęły źdźbła,

stanąłem jak wryty kret,
zdziwiony, że nic mi się
nie stało, miałem pietra,

po chwili zobaczyłem
motyle i uspokoiłem się,
jak ktoś, kto przeżył grozę i
z wniebogłosów się otrząsnął,

ze swadą do domu wracałem,
jak człowiek, który miał farta i
doznał strachu na przestrzał.
Że się wypłatał z 7 kolorów tęczy.

Jeść

Do dziś kołaczą się we mnie okrzyki
z domu: *chodźcie jeść, bo zupa wystygnie!*
wołano przez okno albo z podwórka,
głęboki talerz z zupą nalaną do wrąbka,
stał na ceracie, która go oziębła, więc
już nikt nie musiał z góry chuchać,
ciepła martwa natura z echem, stygła.

Minęło tyle lat, a na stole stoi talerz z łyżką, nieco
dalej w koszyczku leżą kromki chleba i nie chce się
wierzyć, że czas z tego zrobił kruszec na wierszyk.

Jestem

Jestem z Niziny (Mazowieckiej),
dobrze widzę wygórowane ambicje,
wiem, jak się wzdrygnąć, kiedy
obiecują złoto, co pchają pod górę,
nie mam chętki ani kaprysu na srebro,

jestem z czasów, gdzie w modzie były
wysokie drzewa owocowe i drabiny,
mini spódniczki i big-beat,
to, co było, minęło, czas oddalił,
więc jestem, jak człowiek starej daty,
między smutkiem a wesołością, liryk.

Pochodzę z Kopanej, która zawsze była
ostrożna, trzymała dwa końce –
bliżej jest do Tarczyna niż do Grójca.
Coś o tym wiem, choć nie jestem
specem od powitań i pożegnań.

Tylko niektórzy wiedzą, że
wyszedłem ze *Szczerej Wsi*, co
nieopodal stacji *ciuchci* i szosy
z *kocimi łbami*. Przed topolami,

które na wschód prowadziły,
do Prażmowa.

(Tego, o czym piszę, już nie ma, więc
nie sprawdzisz. Mam to w odwodzie,
tj. w zanadrzu, oraz w pamięci).

Kopana

Tu wszystko wolniej katula się,
jak to bywa w Kopanie, co leży
między Tarczynem a Grójcem,
po skosie na Piaseczno i Warszawę,

Ci, co pracują, o brzasku się zrywają
do roboty, a gdy słońce wychodzi zza
Pawłowic, wstają renciści i emeryci,
a w Pamiętce dzwonią na pierwszą przerwę,

forpoczta bywa lasem albo łąką,
czasami polaną, co przeszła ścieżką
wydeptaną, która do miedzy zaprowadzi,
niekoniecznie pod kamień czy ulęgałkę,

jak spojrzysz w okno, to wychodzą
drzewa owocowe, jabłonie, a dalej
czereśnie i wiśnie, śliwki oraz grusza i
orzech, co strzeże w kostkę podwórka,

po *ciuchci* został zarośnięty nasyp,
sąsiedzi odeszli, a czas, jak furman,
zabrał to, co wyszło z formy, aż koło
losu zaskrzypiało, gwizdnął fantasmagorię.

Letnia nota

Było lato, poszedłem na łąki, co leżały
jak ugór za torami kolei wąskotorowej,
pały się krowy i konie,
skakały polne koniki,
pszczoły piły z dna kielicha,
motyle łuszczyły się z kolorów,
trzmiele obsiadły koniczynę,
pod dachem nieba zrywały się jaskółki,
łysą ścieżką sunął ślimak i mrówki,
zabzykana mucha dopadła nieczystość,

była łąka i strach, co niepokojem się karmi,
a dalej płynął strumyk, któremu się nie spieszy,
żeby wpaść przez groblę do stawu,

widziałem konie, którym nogi zawiązano postronkiem,
oraz krowy opleciono ciężkim łańcuchem,
czasami spotykałem byka, co miał w przegrodzie
nosowej kółko lśniące jak nikiel na sztućcach,

zwierzyna się pasła i przeżuwała trawę,
konie baraszkowały na plecach,
w murawie się czochrały – rozgniatały polne koniki i
nie było słyszeć, co w trawie piszczy,
a przecież, kiedy konie legły na żdźbła, to wiadomo, że
za każdym przewrotem pożegnało się z życiem garść owadów,
które nie dawały się okiełznać, więc poległy pod żarnem
grzbietu i darni, w zmiętej darninie pozostały na pastwę ptaków,

a dalej rosły olszyny – ocieniały strumyk, co
ni to płynął z wolna, ni przystawał – wahał się,
po lewej stronie szumiały osiki – drżały
podszyte wiatrem i ziemią zaperzoną,

to wszystko było za torami, po których jeździły
lokomotywy, co gubiły iskry i parę, oraz spalinowe
niebieskie motorki, roztrzęsione i zakasłane,

widziałem jak konie wyprawiały harce na łące,
nogami przebierały chmury, grzbietami rozcierały
murawę i nie było nikogo kto by na odsiecz ruszył
świerszczom, co padły, tam gdzie była granica,
czyli nasyp – zdziczały kurhanek, jak otwarta
księga pastewna, z grzbietem do nieba,
po tej stronie widać było, że wiatr posiał to,
co ludziom było nie na rękę.

Lubiłem

Spitalę/sanatoria, w których przebywałem,
były w lasach mieszanych, więc od dzieciństwa
znam drzewa od strony mchów, a kiedy do domu
wracałem, to szedłem do sadu i głowę zadzierałem,
stawałem się odważny, jak ktoś, kto niepewność przeszedł,

lubiłem patrzeć, jak odjeżdżają pociągi,
na ten ostatni wagonik, co się kołysał i
ociągał, na jego daszku była zawieszona
latarnia, która świeciła we dnie i w nocy,
pociąg pruł – dym puszczał i gwizdał,
płoszył sarny i zające oraz kuropatwy, które
odrywały się od ziemi, choć wiedziały, że
nie polecą, tam gdzie się kończy niepokój.

Moja okolica

Moja okolica, jak pamięcią sięgnę,
wdziewała sady, szczere pola, łąki oraz
lasy, co rosły na winklu, czyli *parkowym*,
przecinały ją szyny kolei wąskotorowej,
które rdza rozbiera, zarosły nasypy,
przez wieś przeszło miasto.

Przypisane miejsce

Piszę wprost, że nie jestem skądś,
że pochodzę z Kopanej, która jest
około 40 km od Ursynowa, który
był (jeszcze niedawno) wioseczką,
ale załała go od wschodu Warszawa,
z lewego brzegu Wisły – od Wilanowa,
gdzie jeszcze nie tak dawno były
pola i błonia, oraz krawędź skarpy.

Nieraz

Nieraz szedłem po
trawach, co sięgały do kolan
albo

przez miedzę, gdzie zasłaniały zboża i
wychodził mak, chaber, rumianek, chwast,
przez świat pastewny, kopytami zryty,
nisza na niszy.

Czułem się jak kolekcjoner
chwil, które przechodzą w mig,
więc czas je nie pozbierał i
wsiały jak mgła w pole widzenia.

To wszystko już zarosło, więc
nie sposób rozejrzeć się,
żeby sprawdzić, co mam
już za sobą, a co przed.

Nie udaję się w drogę

To, co miałem odwiedzić,
nawiedziłem w swoim czasie,
który jak piasek się przesywał.

Podziwiam tych, co na dworcach
czekają pełni nerwów, jak podróżni,
że są zdrowi, czyli pełni życia.

Jestem zamyślony, bo przypominam sobie,
jak dawniej stałem na peronie albo na pomostach,
bo nikt nie chciał ustąpić mi miejsca.

Wielkim łukiem omijałem poczekalnie.
Zajmowałem miejsce w ogonku do kasy
biletowej. Czasami ktoś mnie szturchnął i
zachęcał, że mam prawo *bez kolejki*.
(W czasach PRL-u w wagonach PKP były
tabliczki – MIEJSCE DLA INWALIDY).

Powracają pociągi z wąskich i szerokich torów.
Jeszcze słyszę szelest kartek z wielkiej księgi
rozkładu jazdy ojca, co wiedział, że szyny i
podkłady się kończą, jego feblikiem były rysunki
techniczne. Po robocie lubił zaszyć się w lesie.
Mówił, że lubi zbierać grzyby, odpowiadałem, że
tam odtaje z wniebogłosów. (I tego nie zaprzeczył).

Nota ze szlaku wąskotorowego

Dożyłem czasów, w których się zachęca, żeby
nie przyzwyczajać się do jednego miejsca pracy i
zamieszkania, bo wszystko jest takie niepewne,
jak u nomadów.

Za wzór podaje się tych, co nie potrafią usiedzieć
na dłużej – zakorzenić się i okopać. Drzewiej o takich
mawiało przysłowie, co jak z bata strzelił, że
pędzą *żywot jak na dyszlu*. Że tak ich nosi.

Nie wiem, jakby to mój ojciec skomentował, który przez całe życie pracował w warsztatach kolejowych w Piasecznie. Z kolegami robili wszystko, żeby ludzie mogli nakręcać zegarki podług *ciuchci*. Nie pamiętam, żeby mój tatuś kiedykolwiek był na zwolnieniu lekarskim, choć niejeden opilek z tokarni drasnął jego oko i smuzką krwi naznaczył, więc nieraz mógł stracić światło w oczach.

Od poniedziałku do soboty stał przy obrabiarce, w przetartym drelichowym ubraniu. W buciskach, co miały noski z grubej blachy. Skóra była ciężka od nasączonych smarów. Do lekkich nie należała dębowa podeszwa z żabkami. Kiedy szedł po hali, to było słyhać, że idzie pan rzemieślnik, a nie jakiś nieśmiały praktykant w bereciku z antenką jak pępuszek.

Po pracy do domu wracał koleją wąskotorową. Siedział w przedziale klasy II. Zasypiał nad otwartym „Expressem Wieczornym”, warszawską popołudniówką. (Tak był zmęczony robotą).

Mojego ojca tylko raz pokarano medalem, z którego zrobił szajbę (metalowa uszczelka). Uprzedzę i dopowiem, że podkładka pękła, gdy dokręcał śrubę. *Synu, nie przyjmuj medali, które robią z byle jakiego materiału!* – powiedział, gdy wyciągałem rękę, żeby w ten sposób okazać radość, jakiego to mam na medal ojca. Że ktoś wreszcie go zauważył i odznaczył i zahaczył w klapie marynarki blaszkę jak spławik. Nie wiem, jak to przyjęła załoga z warsztatów wąskotorowych. To było w czasach, kiedy (nie wszystkie) emocje były na pokaz.

Mój ojciec pracował, więc nie mam się czym chwalić, bo robotą w pocie czoła do zmęczenia się dochodzi, niestety.

Nie pytaj, czy oprócz książek z tokarstwa cokolwiek przeczytał, a co z gazet wydziobał. To był nienasycony czytelnik rozkładu jazdy pociągów oraz spec ds. metalu. Nie słyszałem, żeby opowiadał jakiś dowcip. Lubił słuchać i mimochodem zagadać albo stanąć na czatach.

Wieczorami siedział z uchem przyklejonym do
radioodbiornika i rozszyfrował to, co zagłuszali
w PRL-u, więc wyłaził z niego często złodźnik.
Wiedział, że jak zdechnie lis, nie płaczą kury i koguty.

W sobotę puszczał płyty winylowe i coś mruczał
pod nosem. W dużym pokoju siedział, w tym czasie
przebywałem w ganku. Czytałem.

O szybę ocierała się jabłoń, która płoszyła wróble,
co przysiadły na brzegu tarczy słonecznika. Matka
stała przy kuchni. Komin dymem się sztachął.

Minęły lata.

Ojciec odszedł tak niespodziewanie, w październiku.

Zlikwidowano *ciuchcię*.

W warsztatów wywieziono tokarnie, frezerki i
zimne palenisko kowala.

Któregoś dnia siostra mi doniosła, że tam gdzie
było stanowisko jego pracy, teraz jest knajpa *Odjazd*.
Jedzą, piją, wychodzą na zewnątrz zakurzyć, na peronie.

*Byłam w niej na weselu. Siedziałam przy stole,
w tym miejscu, gdzie tatusia stała tokarnia –
powiedziała poruszona.*

Oto kolejny dowód, jak los potrafi z czasem skrócić
wszystko, co było wpisane w szyny i drewniane podkłady.
Pozostał nasyp szlaku – ni to miedza, ni kurhanek.
Wielki atlas ziół i krzaków. Słowem, samopas.

Odkrycie na miarę szerokich torów

W dzieciństwie, stojąc na stacji PKP
wąskotorowa Pawłowice–Kopana,
zauważyłem, że im mniejszy prześwit
szyn pociągów, tym przyjeżdżały na
czas, wedle rozkładu jazdy, co za
szybą wisiął, jak oderwany żółty liść.

Małe odkrycie, długie jak punktualność,
własne jak sentymentalna pamiątka, na jutro i dziś.

Owoce

Byłem przedwczesny wśród niedojrzałych owoców,
które wyzwoliły się z kwiatów,
stałem w sadzie i rozmyślałem,
że owoc czyli po-kwiecie,
że wiatr, podszyty słońcem, musi
go wykołysać, aby dojrzał,
że cień pada, a owoc (z czasem) spada z gałęzi,
gdy się spóźni ręka, tj. w swoim czasie nie capnie,

obserwowałem jak owoce się nagrzewają i
pod liśćmi dyszą – łakną światła,
nabierają rumieńców, jak dzieci w zimie,
(ubarwiam nieco, żeby się to dało czytać),

owoce z każdym dniem były dojrzalsze – w nocy odpoczywały,
a ja nadal tkwiłem w niedojrzałości i myślałem – a gdyby tak
człowiek mógł ponaglić sad i pole, ostatecznie las i łąkę,

stałem zadziwiony jak poeta, mimo że wierszy nie pisałem,
choć nieraz wchodziłem na drabinę, aby oderwać się od ziemi,

a kiedy lato przetaczało podjesień, częściej od strony sadu
słyszałem jak jabłka spadały *ciap, ciap...*, zaś gruszki padały:
pac, pac, pac – wiatr bujał drzewa jak kołyską i
z każdym dniem było więcej liści niż owoców,

a w ogródku róże przykryto kapeluszem,
wykręconym ze słomy i liści, który został na zimę,
a wiosną zabrał się z latem. I to wszystko.

Pamiętam

Miałem widok na sady i (szczere) pole,
których nie sposób przeorać,

pamiętam, że nocą ojciec wstawał, żeby
sprawdzić zamki w drzwiach, bo wpół śnie
przez bramę przecisnął się złodziej, co na bosaka
pomykał, za pazuchę schował pijące buty,

pamiętam, że jeszcze tak niedawno matki przy
łódeczkach dzieci nuciły kołysanki, a kiedy dorosły,
to przed zaśnięciem już umiały liczyć owce i barany,
co szczypały trawę na niebiańskich pastwiskach,
strzepując z brody rosę.

Do domu szło się uliczką, na którą wyrzucano
popiół i wchodziło się w łysą ścieżkę, co dzieliła
ogródek z kwiatami oraz sad z wisienkami, śliwami,
jabłoniami, a pod czereśnią się skręcało wprost do
ganku, który zapraszał do sieni i pokoju.

Piszę (głosa na marginesie)

Piszę, żeby jeszcze raz powtórzyć
– oto nasza ziemia: pola, sady, domy z podwórkami i
drogi asfaltowe, pod którymi zaszyto ścieżki i szosę
z kocimi łbami, oraz lasy i strumyki, co płyną z wolna i
oczka stawów, gdzie woda się nie zgina (jak staw),
mówiąc dowcipem, jaki krąży wzdłuż i wszerz Polski.

Chciałbym, żeby ktoś, kto przejeżdża przez
Kopanę, np. E77, zwolnił albo się zatrzymał i spojrzął, nie szukał, czy nie
mijam się z prawdą i ruszył przed siebie – pozostawiając to, co odeszło.

Pobudka

Nieraz nie mogliśmy wstać z łóżka,
więc matka przychodziła z
miseczką wody i końcami palców
kropiła twarz ściętą snem.

To było w czasie, kiedy zorze zeszyły
z pól, sadów, lasów, łąk oraz stawów.

Byliśmy pod obstrzałem kropel H_2O ,
wyciągniętych ze studni, wczoraj,
zrywaliśmy się z pościeli jakby
ktoś nas osypał gorącym lodem.

Świadkowie niemi – mokra poduszka i
podłoga w kolorze orzechów przegryzionych,
na którą przeciekały promienie przez sieci firanek,
oraz cień, co się kładł na dywan – w stronę kuchni.

I pomyśleć, że to wszystko miało swój czas,
z którym się minęliśmy po drodze, gdzie
ścieżki i wydepczyska.

Porządek

Porządek lubi nieporządnie
zaszaleć, puszcza wodze, żeby go
bałagan rozruszał,
w porę się zbiera,
otrząsa, zastyga i ma fason,

z nim lepiej nie zabałaganić, bo
z wiekiem mamy coraz mniej
czasu na głupie szukanie,

a poza tym jeszcze jedno dorzucę,
z obserwacji światła wynika, że
w cieniu jest zawsze szyk, jak w snopie,
co ma powróśło, jak warkocz skręcone,
albo jak chałka, zwana *kukietką* lub *plecionką*.

Powrót do pierwszych wierszy

Powracają pierwsze wiersze,
za sadem wysokopiennym,
za lasem mieszanym pisane,
wciętym w łąkę.

Widzę i słyszę nad szczerym polem skowronka,
w krzakach szamocą się przebiegłe kukułki,
echo płoszy zające i sarny –
drży okolica między Tarczynem, co od północy,
a Grójcem, od południa.

Leżę w bosych trawach, nieopodal strumyka,
przed lasem – niebo w bandażach obłoków,
świeżo wypranych – innymi słowy, na pastwisku,
są wakacje – pora laby, więc mogę dłużej rozmyślać.

Piszę wiersze na kartkach wydartych z zeszytu,
tak mi się zdaje, że to jest poezja jak z podręcznika
do nauki języka polskiego, czysta jak ze źródła,
co w rowie wybiło; jeszcze nie wiem, że nikt poza mną
tego nie przeczyta, choć tak się staram, aby to, co
nabazgrałem, trafiło na szpaltę, z ołowiu wylaną.

Problem

Choroba w dzieciństwie
z domu wygania i zawstydza młodość,
ja to przeszedłem,
pamiętam, że jak wyjeżdżałem,
to widziałem jutrzenkę,
słyszałem pianie kogutów,
zzuwała się z nocy dzikość,
dniało – zabierałem ze sobą
szczyptę chłodu i to, czego
nie dało się opisać i opowiedzieć.

Przegląd sadu

Sad zakwitł, jakby Biel się
zawstydziła, różem podszyta,
spadły płatki i ustąpiły
miejsca związanym owocom,
wiatr je rozsiewa, to znaczy, że
osypuje pola i drogi jak się patrzy,
nareszcie widać, jak
liście ząbkami tną,
owoce nabierają smaku,
światło je pluska – a noc
przeciera ze zmierzchu i uciera przed dniem.

Przypisane miejsce

Piszę wprost, że nie jestem skądś,
że pochodzę z Kopanej, która jest
około 40 km od Ursynowa, który
był (jeszcze niedawno) wioseczką,
ale zalała go od południa Warszawa,
z lewego brzegu Wisły.

Pytanie na niegrzeczne czasy

Co się z tym światem
zrobiło? – pytam podczas
kwerend, gdy zapuszczam się
do Tarczyna – śmigam do Grójca,
gdzie zawiązano mój pępek,
23 czerwca 1954 roku, w środę.
Ale to nie moja wina, żartuję.

Rozkurz w sadzie

W maju 2017 roku przeszedł nad Polską mróz ze śniegiem, w ciągu jednej nocy najbardziej ucierpiały sady, co rozwinęły pąki, mróz kwiaty zwarzył, mówiąc wprost – zabrał urodzaj, co się nie zawiązało, na ziemi pozostały wymłócone płatki i zwęglone pączki – *bękarty*.

Rozstanie

Musiałem wyjechać do szpitala.
Miałem 8 lat. Lato wchodziło bosą stopą w jesień.
Wyszedłem z domu, żeby sad dzieciństwa mnie
objął. Przytuliłem wilgotny policzek do jabłoni.
Na fartuchu ziemi leżały owoce pomarszczone,
jakby wyjęte z piekarnika. Myślałem, że mnie
w obronę weźmie też ogródek – róże i georginie.
I nagle zerwał się wiatr, aż tyczki pod pachami drzew
zadrżały. Odezwały się piszczałki liści i traw, i
zagłuszyły wszystkie skargi, czyste jak dzieciństwo.
W okamgnieniu się zestarzałem. W jednej chwili
zwarzyły się kwiaty i wystrzeliły owoce do słońca.
Zrozumiałem, że wygłupiłem się. Że nie spotkam
kogoś, kto weźmie mnie w obronę i łzy wytrze.
Rękawem doczyściłem policzki do sucha i
wróciłem pod dach domu, co stał od strony uliczki,
z łysą ścieżką, objętą trawą bosą, z chodnikiem do studni.
Zarankiem wyjechałem pociągiem,
wybudzony ze snu.
To był mój pierwszy wyjazd do
Białych ścian, gdzie wciąż czegoś żal.
Ojciec mnie pochwalił, że byłem dzielny,
choć była to nieprawda z domieszką kłamstwa.
(Są wspomnienia zerwane jak kubek z łańcucha, co
nie ginie – póki studnia trzyma w kręgach wodę).

Rzecz o starych pociągach

Zawsze byłem po stronie pociągów, które
zapuszczały się w dal, gdzie szyny się kończą,
wagonysunęły za widnokręsy, prowadzone przez
maszynistów lokomotywy czarno-czerwone-zielone,
a kiedy przystawały zdyszane na stacji,
to widziałem, jak są powleczone chłodem,
łuszczyły się smarem, który na podkłady kapął,
więc wycierano je szmatą nasączoną oliwą,
do połysku, na którym wiatr się skrapiał.

Sad

Mój sad jest wielki, bo
już dawno wyrwany,
czasami przychodzi we śnie
żeby mną potrząsnąć i przypomnieć, że kiedy
w nim zrywa się owoce, to
wiatr daje z liścia i porusza
rozłogi, pędy i kłacza,

matematyka jest
zapisana na blaszce liścia,
drzewa mnożą się w kwiatach,
dzielą w owocach,

tylko sadownik wie, ile biorą
z ziemi i nieba, a ile z ręki, że
bez oprysków się nie obejdzie.
Że sad – mówiąc półgębkiem –
to szpital, nie ma *szast-prast*, kasa.

Sad przydomowy

To sad, gdzie było można żenić jabłoń z gruszą, śliwę z orzechem, malinę z porzeczką, truskawki z agrestem, tylko strach był na miejscu, jak stary kawaler, wystawiony na wietrzyk, co polem przeszedł, a pod ścianę lasu się uspokoił i dociszył.

Sadownicze refleksje

Sad to nie las, gdzie drzewa stoją albo padły, więc nie szacuj z kwiatów, poczekaj na zbiór owoców, bądź jak sadownik, co w owocu dostrzeże płatki, które pęd powietrza zmiótł i przez dłuższą chwilę było, jak po skandalu, szacowano zyski, przemilczano straty.

Sadza

Zimą ojciec czyścił luft komina z sadzy, czarny proszek wymiatał do kubła i wysypywał na śnieg, obserwowałem jak Biel wypala się i miesza, i powstaje melanż,

kilka razy w tygodniu wygarniał z kuchni popiół i rozrzucał na uliczkę, żeby się udeптаło to, co poszło z dymem przez komin na zawsze, nie widziałem, żeby zasypiał gruszek w popiele, więc ulęgałki dosychały na kuchni daleko od fajerek, blisko ściany czekały, żeby ktoś się na nie skusił,

owoce usychały z pragnienia, wyglądały jak rodzyнки, nabite na cierń.

Sam smak!

Czyli taka polszczyzna, jakbyś
łyżeczką drążył upieczone jabłko,
wyjęte z piekarnika węglowej kuchni,
słodką cierpkość z odrobiną chłodu,
jabłko z drzewa poznania dobra i zła,
co padło niedaleko od drzewa wiadomości,
jak pisali w czasach szarej renety,
jabłuszko do poznania – niepryskane.

Sekrety warsztatu

Pisząc, opieram się na relacjach ludzi,
którzy – podobnie jak moja matka –
jedną zimę chodzili do szkoły,
na uśmiechu piszę o tym, co odchodzi
do lamusa, innymi słowy, ku pamięci,
może to się kiedyś komu przyda.

Sen jak fiszki

Miałem dobry sen, bo
znów mi ktoś przyniósł
zszywki gazet, jakie czytałem
w dzieciństwie („Misia” w formacie
kwadratu i „Świerszczyk”, co miał kartki A4);
a potem dostałem świeżą porcję prasy,
kiedy chodziłem do szkoły („Płomyczek”,
„Płomyk”, „Świat Młodych” oraz „Na przełaj”);
były też ówczesne dzienniki, jak na przykład:
„Sztandar Młodych”, zwany niebieski kłamczuszek,
„Trybuna Ludu”, której nie dało się czytać,
„Życie Warszawy” z wkładkami, gdzie zachęcano
do myślenia; sobotnio-niedzielne wydanie
pomarańczowe „Trybuny Mazowieckiej”,

a kiedy wszedłem w wiek męski,
wybrałem warszawską „Kulturę” z ul. Wiejskiej,
oraz „Tygodnik Kulturalny” z ul. Grzybowskiej 4,
z ul. Koszykowej 6 „Literaturę”, z Krakowa „Życie Literackie”;
byłem obstawiony gazetami z dzieciństwa i młodości, i poczułem frajdę,
że wszystko jest na swoim miejscu,
choć to była lekka przesada, zauważyłem po latach;

.....
przebudziłem się wilgotny – i roztopił się sen; niemi świadkowie:
wilgotna poduszka, puchowa kołdra oraz skopane prześcieradło.

Sen z 13 na 14 sierpnia 2017 roku

Z niedzieli na poniedziałek miałem
sen – byłem gałęzią jabłoni – widziałem
liście zielone – bez piany z kwiatów –

jabłoń z pniem powiedziała: *będę z tobą
kiedy zakwitniesz i dotkną cię pszczoły,
żebyś mógł zawiązać niejeden owoc w ogonku,*

sen poczęty w sadzie dzieciństwa
niedaleko Grójca – bliżej Tarczyna,
z wioseczki Kopana (na dawnej
mapie zapisana jako *Szczera Wieś*).

Staram się

Staram się, aby zachwyty był
na miarę okolic *Kwitnącej Jabłoni*,
płatków, owoców, liści i gniazd,

oby mi nikt tego nie skopsał,
na wszelki wypadek mam kopię,
zanim czas tego nie sponiewiera.

Skąd jestem?

Skąd pan jest?, nieraz mnie pytają,
odpowiadam zgodnie z prawdą, że
z okolic *Kwitnącej Jabłoni*, co
otrząsa się latem i jesienią,
tu, gdzie z sadów wyciskają
słodkie soki, nektary, napoje
albo na szali wagi kładą owoce
z ogonkiem lub z listeczkciem.

Poza tym w moich stronach
opryskowe koktajle – rzecz normalna,
gdyby nie pestycydy, to byłoby po
truskawkach, czereśniach, jabłkach,
śliwkach, gruszkach...

Jest mniej ptaków i owadów,
a wśród nich much flejtuchów.

Samo życie, czyli coś za coś.

Słoma

Wymłócona z ziarna i plew,
noszona na podściółkę,
ze sterty albo z siasieka,
rżnięta na obrok, upychana
do butów, sypana do siennika,
na strzesze wyleżała i stodole pod kalenicą,
na widły brana luzem albo w snopku,
latem noszona w słomianym kapeluszu,
przez słomkę pito napoje schłodzone,
a jesienią chochoł nosił ją pod
róże albo w sadzie pnie ocieplął i
przed zębami chronił, gdy
podchodziły zające oraz sarny;
niby wiecheć, który pęd powietrza
rozwłóczy;

w słomie drzemie garstka zapалу, oraz
przysłowie jak popiołek, co przez ogień,
przecisnęło się szybciej, niż przez ucho igielne.

Snopek

Kiedy na niego spojrzysz – widzisz – ścięty
łan zboża – garść chabrow, ostów i rumianków,
z pół zwożono snopy aż skrzypiały osie kół,
był taki pisk, jakby w zbożu zatopiła się kosa,
w nim znajdziesz słoneczne promienie, które
przewiozły Wielkie Wozy, aby ziarno skruszyć,
żyto co jak srebro albo złoto jak pszenica, albo
jak owies, w którym buszują dziki-szkodniki.

Sny jawą tkane

Sny mnie nawiedzają, pełne jawy i zapomnienia.
Z wiekiem coraz więcej przegapiam i częściej
w kiosku szukam „Tygodnika Kulturalnego”,
w którym pisałem felietony, dzięki nim
nauczyłem się uśmiechać.
Grzecznie pytam o „Nowy Medyk”, dwutygodnik z
ul. Oczki 5, w którym debiutowałem wierszami
w *Kawiarni poetyckiej*, z notą i zdjęciem.
Jestem zadziwiony, że nie ma „Na przełaj”,
harcerski tygodnik z ulicy Marii Konopnickiej 6,
w tym budynku mieściła się Rozgłośnia Harcerska
z listą przebojów polskich i zagranicznych,
emitowana na falach krótkich i średnich.
W tygodniku dla starszych zuchów i harcerzy,
w czasie wakacji 1972 roku w Kopanie,
opublikowałem *Kartkę z mego życia*.
Pytam, dlaczego nie dowieźli „Radar”,
miesięcznika pracy twórczej, który miał siedzibę
przy ul. Smolna 40 (dawny pałac Branickich), w którym

zamieszczałem teksty na kolumnie pod wersalikiem KAWALKADA (poezja) albo AGORA (proza) i dostawałem (niezłe) honorarium.

Dziwię się, że nie ma „Poezji”, miesięcznika z ul. Wilczej 46, gdzie poeci zebrali o wierszówkę, wyciągali z kieszeni zmięte wiersze, zaś poetki przynosiły maszynopisy, jak wykrochmalone bawełniane chusteczki do noska i policzków.

W sieci kiosków Ruchu szukam gazet, co się rozeszły, czasami powracają jak sny, które mieszają *za* i *przeciw*.

Spostrzeżenie

To, co widziałem, mógłbym zapisać na listkach i puszczać w strumyku, co płynął pomaluśku ze Starej Kopanej do Pawłowic i drążył dalej, gdzie stawy się kończą, a zaczyna rów, który do rzeczki doprowadza. Wszystko.

PS Do strumyku pasuje staropolski czasownik *poniknąć*, który znaczył tyle, co osłabnąć, ustać, zniknąć. W gwarze przetrwał przymiotnik *ponikły*, czyli ten, co zniknął, zniknął, skrył się. Strużka ledwo płynęła suchym gardłem rowu, nawilżając wyżłobioną rynnę pól.

Sprzed lat

Kiedy to Kopana przez sady patrzyła,
Pawłowice strzegły topole,
Pamiętkę zasłaniał dąb oraz głóg i mirabelki (lubaszki),
wzdłuż szosy krakowskiej prowadziła aleja
z kasztanowców do Grójca i Warszawy,
czyli na południe i północ,

tak było przed laty, ja nie cyganię, choć
niejeden tabor pozostawił po sobie trzask batów i
podków na piasku,
zza krzaków słyszałem jak zamykają podwórka,

wspomnienie sprzed lat,
z Kopanej,
z drogi powleczonej kurzem i
strzałami z batów,
urwany początek zabrał koniec i było po wszystkim.

(Stare) Jabłonie z Kopanej

Jeszcze rosną stare jabłonie,
które odchodzą, stojąc,
wyglądają jak widełki od
procy (Y), co strzelają żywicą.

Starocie

Stare sady weszły w las, które je
zaszył i zamiótł pod darni,
Stary las, w którym mech jest po to,
żebyś mógł ze strachu się wytrzepać i
ochłonąć pod krzewinką wrzosu,
Stary bilet wypisany kopiowym ołówkiem,
co się rozlał fioletowo, jak śliwka, i wysechł,
wypisany przez konduktora z *grójeckiej ciuchci*,
niebieskim długopisem,
Stare pola, co poszły w stronę przedmieścia,
z domkami zatopionymi w ogródkach, zaryglowane
bramą, oraz furtką na kluczyk lub skobelek,
Stare strychy, gdzie pod krokwią
leżał kurz, a pod dachem sieci
pajęczyny, w których kołysało się babie lato,
Dopiero na stare lata widać jak na dłoni, że
młodość to wybujałe dzieciństwo, co pod
krokwią chrobocze, kiedy wiatrem się zanosí.

Stary sad

Spróchniały, dziki, z owocami
w darni, wszedł w krainę pleśni, gnije,
czeka aż go do reszty niepogoda
pochrupie,
a mgła zabandażuje i szron zmiażdży,
wystawia pnie-kikuty, wydrążone ze
słojów, czasami z nich wybijają listki,
rozwijają się pąki i na murawie można
spotkać jabłuszka, co się marszczą jak
w szarlotce na kruchym spodzie z ciasta,
stary sad z jabłkami, które gniją,
bo nie doczekały ręki, więc wiatr je
strącił i padły niedaleko od jabłoni,
leżą z dziurką wydrążoną przez osy,
z odklejoną korą, z pokrzywą, co
powietrze szczypie, zastygły jak rzeka,
którą mróz zatrzymał z nurtem i zatrzasnęły się mosty, jak nity;
stary sad nieraz mijałem w dzieciństwie,
jak szedłem do szkoły podstawowej w Pamiętce,
wiosną uczył mnie zachwytu,
w czasie wakacji traciłem go z oczu,
we wrześniu zza liści spozierał,
jesienią wyjeżdżałem do sanatorium, więc nie wiem,
jak sobie radził z zimowym wiatrem z trasy E7,
nie mam pojęcia, co przywiewał z czterech stron świata,
grozę czy baśń, jak otulał zamiecią skrzypiące drzewa,
stary sad szczeł, aż go wykopali z Kopanej,
resztę zabrali ze sobą ci, którzy na zawsze odeszli i
zostali na wieki nie tylko w Rembertowie zaszydzi,
to był najstarszy sad, swój, niemy ziomek,
ostatni sad z moich stron grójeckich,
za duży jak na elegię, doskonale się wtapia
w wierszyk, jak kwiat jabłoni, co zasnął,
więc z pesteczek już nie wystrzeli ani liści.

Strach

Był strach drzewny i polny, silniejszy niż ten, co
wystawała owocowych drzewach, żeby wypłoszyć
smakoszy czereśni (szpaki, wrony),

strach – niemy stróż pól i sadów,
stał jak duża kukła, podszyta strachem,
w kapeluszu płowym oraz w podartym ubraniu,
gdzie łąta na łącie, sfilcowany i bosy, bo buty zgubił,
goniąc złodziejasków, którzy chcieli go przechytrzyć,
wisi roztrzepany, przybity do kija z sękami;

jest zawsze nieprzyjemny, nawet kiedy go okiełznasz,
miał też dobrą stronę, bo dzięki temu, że był ze mną
w dzieciństwie, odważnie przeszedłem przez młodość.

Straty

Dzieciństwo przeżyłem, tracąc dom z oczu, sad i
szkołę w Pamiętce, a potem resztę mi zabrano, więc tym,
co przepadło, mogę się już śmiało podzielić – nic nie tracąc.

Strumyk

Mieszkałem w Kopanie, tu gdzie
strumyk płynął z wolna, zabierał odbicia
niezapominajek błotnych, zwanych *mysie uszko*,
niósł niezabudki do stawu w Pawłowicach i
przy grobli odsiewał z rzęsą, co jak żabie oczka.

Stryzek

Skrzypiały schody, powleczone chłodem,
gdy po stopniach schodziliśmy ze strychu,
niosąc:
dojrzałe pomidory,
orzechy łatwe do zgryzienia,
zioła wysuszone do ostatniej kropli rosy,
pachnące sianem rumiane jabłuszka,
wianuszek grzybów,
duży kubek grochu albo garść maku,
z dreszczem zachwytu powracaliśmy z góry,
czyli między sufitem a dachem,
gdzie komin pisał listy tak czyste, że trafiały do
nieba, co się otwiera i zamyka,
w tym miejscu, gdzie grube krokwie
trzymały straż nad dachem,
zimą matka wieszała pranie,
czasami ojciec zmęczony wpadał, żeby
urwać sobie drzemkę, więc nieraz
dochodziło do nas chrapanie z poddasza.

Szkolna nauczka

Była taka lekcja w szkole podstawowej, którą
zapamiętałem, choć taka nieprzyjemna.
Wróciłem z Białych ścian do domu,
wiosna już była na całego.
Zakwitły wiśnie i jabłonie.
Pojawiły się pierwsze truskawki, popularne
murzynki, słodkie jak poziomki.
Poszedłem do szkoły Wojciecha i Anieli Górskich
Małżonków w Pamiętce, poczta Tarczyn.
Na lekcji geografii pani poprosiło, abym
opowiedział, gdzie byłem od jesieni
zeszłego roku przez całą zimę.

Wstałem z ławki i rozpocząłem
małą opowieść, bo krótko tam
przebywałem. Mówiłem, że ludzie
opalali się na dachach. I nagle,
kiedy się wzruszyłem, usłyszałem
śmiech całej mojej klasy. Zamilkłem.
Nauczycielka dołączyła do uczniów i
zostałem wyśmiany przy drzwiach zamkniętych,
z oknami, co wychodziły na sad szkolny, w którym
rosły czereśnie pamiątkowskie, co przerosły
wszystkie szczeble drabiny.

(Po tej lekcji życia została mi nauczka, że
lepiej się nie wychylać, gdy poproszą o narrację).

Świt

Ileż to razy musiałem się zrywać,
gdy była za oknem ciemność.
Powolutku rozjaśniało się niebo.
Spryskiwałem się zimną wodą.
I w te pędy na stację, żeby się
tylko nie spóźnić na pociąg.

Szedłem przez brzask. Bosa rosa
kołysała się na źdźbłach, jak na hamaku,
więc nie dała się wycisnąć do sucha.
Światło ssało resztki ciemności.

Polną drogą jechał furka pełna baniek
mleka i zrywał się pierwszy kurz,
co szybko opadał i osiadał w krzakach.

Obrazek sprzed lat. Niby taki sentymentalny,
ale swój. Polski, która przeszła boso albo
w butach – odjechała w dal czym się dało.

Targ

Targ – wydarzenie lokalne, co przekraczało granice powiatu.

Oto przykład z dawnego powiatu grójeckiego.

Zamiast mówić, że jedzie się na jarmark, gadano:

jedziemy na święto dyszla. To znaczyło, że w tygodniu, w poniedziałek ktoś pocwala furmanką, zaprzężoną do konia lub koni do miasteczka Tarczyn albo w czwartek do Grójca lub we wtorek i piątek do Piaseczna. Targ – słowo jak *pik, pik* – czyli mocne uderzenia serca.

Jak ktoś kogoś pytał: *skąd wracasz?*

odpowiadano – *byłem na święcie dyszla.*

I szelmowsko się uśmiechano.

To powiedzonko, rzecz jasna, zniknęło wraz z końmi i wozami oraz bryczkami, które miały dyszel albo dyszle – sterczące do nieba, przez które wieczorem jeździły Wielkie i małe wozy, co zwoziły gwiazdy, jak osetki księżyca, co noc ostrzą. Dzięki temu zrozumiałem, że *chłop swoim letkim wozem wsędzie psjadzie.*

Odeszły przysłowia nietutejsze. Pierwsze na wschód poszarpały narowiste konie – *u nas prawo jak dyszel, gdzie go skierujesz, tam i wyjdzie.* Drugie prysnęło na zachód – *kto pracuje na targu, ma wielu nauczycieli.*

(Przy bramie furtka – rzecz normalna, że piszczy, kiedy przez podwórko wiatr zwiewa).

Topole

Topole to były drzewa, które nie sposób było objąć, podobnie jak dąb *Wojciech* w Pamiętce, za to w sadzie mogłem śmiało się przytulić do czereśni, wiśni, gruszy, śliwy i jabłoni, a przy okazji naszeptać skarg bezgłośnych, które można spotkać w księdze życzeń, co na pohybel nieszczęścia.

Tu

Tu spotkasz, czterolistną koniczynę,
a nawet dwuorzechy, i na pewno nie
znajdziesz w sadzie śliwki bez pestki.

Tu nauczyłem się pisać pierwszych liter,
z których składałem słowa i zdania proste,
na długie lata wyjechałem do Białych ścian
pociągami wąskotorowym, z którego dym szybciej,
niż w bibułę wsiąkał w pola, góry i lasy mieszane.

Z dala od domu pisałem zdania złożone i
uczyłem się myśleć inaczej, aniżeli ludzie
ze wsi do ziemi przypisani, co niszczy.

Do Kopanej wpadałem na krótko, bo
nikt o mnie nie zabiegał, więc ruszyłem
w świat i było nie łatwo – nie zmyślam.

Tak wyszło, więc nie ma co *gdybać* i kompilować.
Wczoraj nie sposób obwiniać, wystarczą przedawnienia.

W dzieciństwie

Wystarczyło mocniej pchnąć furtkę, żeby
wejść do ogródka albo na podwórko objęte płotem,
który wiecznie się paczył, jak okna, drzwi i próg.

W dzieciństwie był widnokres, a kiedy wyjechałem z
domu, to przywiozłem do wioseczki słowa pełne
nieskończoności, jak ziarna w skończonym kłosie,
i rozumiałem, że z czasem wszystko się łuszczy,
oraz szczypie w oczy, jak cebula rozebrana z łusek.

Ulegalka

Jak zakwita, to jest rozczochrana,
bo ją owady obsiadły i piją, ile się da,

a kiedy się z kwiatów rozbierze, to
obraста kolcami jak dzikuska,
czasami synogarlice między jej
cierniami wiją gniazdo,

polna grusza z miedz i zapłoci,
co dzieli i odgradza,

splata lato i podjesień,
wiatr otrząsa, więc do fartucha ziemi
padają cierpkie owoce, które muszą się
ździebko uleżeć na przejściu od zbitej
zieleni do brązów, aby można je przebierać,

a kiedy za oknem przymrozek,
w domu pod piecem się marszczą,
lekko słodkie – z pesteczkami,
do pochrapania lub na kompocik.

Wiś

Ja nie wyparłem się swoich, którzy
nosili koszule przypalone potem,
mam słabość do kultury agrarnej,
to jest mój feblik, dzięki ludziom
ze wsi zrozumiałem, jak miasto
potrafi rozcieńczyć człowieka i
zbałamucić, że industrializacja
przynosi suszę, co zabiera wilgoć i
sól, wszystkiego, czego się nauczyłem,
zawdzięczam polskiemu ludowi, który
wyrósł z ziemi i cienia drzew owocowych,
z zapachu łąk i szczyrych pól oraz lasu,
z tego, co usłyszałem, czyli z drugich ust,
(w tym miejscu mały wtręt, jak zmęczony chłop

powracał z pola, to czasami go wołał sąsiad,
żeby go z nieszczęścia podźwignął),
polski lud był na swój sposób poetycki,
konkretny, zaś w chwilach uniesień,
od ziemi oderwany, ździebko, z polotem,
lubił ponarzekać, był chytry na robotę,
choć wyjątki – jak wszędzie – się zdarzały.

Wieś powraca

Ale dawna, z lipami, gołębnikiem, oborą, stodołą,
domem drewnianym z gankiem, podwórkiem
ogrodzonym sztachetami, pasieką w ogródku,
przydomowym sadkiem, polem ze zbożem i
ziemniakami, oraz z klinem łąki pod ścianą lasu,
z którego wieczorem przychodziły
czary-mary, cuda-wianki bez zapowiedzi,
a wieczorem ludzie opowiadali niestworzone
rzeczy, żeby przed snem się postraszyć.

Mój ojciec lubił późną nocą spuścić psa
z łańcucha, aby zwiększyć pole nocnej ciszy,
żeby złodziej poczuł skruchę oraz niepewność.
Żeby swobodą nie zdążył się nasycić.

Wspominam

(Zawsze) wspominam owoce, co z robakiem
spadną i te, co zostaną na gałęzi podkolorowane
promieniem, umyte deszczem, wytarte wiatrem,
co szura od Grójca, przez okrągły rok, toczy jabłuszka.

Żłób

Nieraz zachodziłem do obory, żeby
patrzeć na krowy i konie, co stały
u żłobu, przeżuwały siano albo obrok,
czasami łańcuchem potrząsały i dawały
łupnia, więc rozchodził się suchy dźwięk
jak z kołatki, kopytami mocniej uderzały
w podściółkę słomy, z pysków ściekała
popłataną nitką śliny, nie ukrywały tego
jak głośno trawia; lubiłem patrzeć jak
z kubła ssą wodę i ogonem trzaskają muchy,
co obsiadły zady oraz kaprawe oczy;
w oborze wszystko było na kupie,
to się widziało i czuło, pociągając nosem;
w tym przybytku drzwi były na oścież otwarte,
dzięki temu zrozumiałem, że człowiek
siedzi na gnoju, a nie na złocie. Jak Hiob.

W PRL-u

Urodziłem się w PRL-u, w tej części Europy, co była
zaznaczona zasiekami z druty i betonu,

mój ojciec namiętnie wieczorami przytulał głowę
do radioodbiornika i słuchał Radia Wolna Europa,
a później przełączał na Głos Ameryki, czasami Radio Paryż,
na bieżąco śledził księgę strachu,

matka stała przy kuchni i wspominała o Powstaniu Warszawskim
(zginęło 200 000 osób i 20 000 dzieci i młodzieży) oraz
o tym, jak szybko oderwano przyszyty polski guzik, ostatni.
To był mój *entourage* z ziemi grójeckiej, mówiąc po francusku.

Zapisek konstanciński, 2009

Jak otworzyłem okno, to zobaczyłem sosny.
Jedna w korze, a druga w brązowej łusce.
(Ta w korze, chyba starsza).
Z takiego łyka w strugaliśmy
syczorykiem (*Rybką*) łódeczki, które
puszczaliśmy w strumykach, co płynęły z *wolna*,
jak w tej dziecięcej piosence. To były nasze
statki dzieciństwa – gilzami próbowaliśmy
przemycać marzenia, gdzie dal bez końca.

Zapisek uczniowski

Dzięki szkole Wojciecha Górskiego w Pamiątce,
co leży między Tarczynem a Grójcem, na wsi
jest jaśniej i więcej ocalano marzeń, które
lubią iść do miasta, żeby rozwinąć skrzydła,
szkołę można ocenić po tym, ilu uczniów zwalnia,
kiedy jedzie trasą E77 przez Pamiątkę, z nitką S7,
a ilu zatrzymuje się, żeby ochłonać z dzieciństwa oraz
uśmiechnąć się do czasu młodości, gdzie góra życia.

Żyletka

Ojciec nieraz pokazywał, jak żyletką
obcina się paznokcie u rąk i nóg,
czasami obtaczał ołówek albo kredki,
to było takie frapujące, jak słowo daje,
choć niebezpieczne, przyznaję.

Zawróciłem

Pamiętam taki dzień, w którym się
zdenerwowałem. I coś się we mnie zatrzęsło.
Do chlebaka włożyłem buklak z herbatą,
długopis i szkolny zeszyt w kratkę.
Ciszkiem wymknąłem się z domu.
Zamarzyłem, żeby iść za widnokres.
Szedłem brzegiem murawy, przy strumyku,
co się wrzynał w pola, notowałem,
ile już jest za mną drogi,
na jakie przygody mogę liczyć.

W końcu byłem tak wyczerpany, że
zasnąłem pod gruszą polną.
Wiaterek schłodził mi silnie
rozgrzaną głowę. Uspokoilem drżenie.
Poniosłem się ze zmiętej trawy i
Lelum polelum zawróciłem do domu.

Powitał mnie pies i rozświetlone podwórko,
oraz ojciec z kluczami, co pasowały do
furtki i bramy, komórki i ganku.

Umyłem się. Usiadłem do stołu, żeby spożyć
spóźnioną kolację i na próżno czekałem, żeby
tata zdążył mnie ofukać. Jadłem kęs za kęsem,
popijając słabiutką herbatką, aż mnie korciło,
żeby zakląć, psiakostka.

Syty zwinąłem się do łóżka.

We śnie tłukłem kamienie, które
puszczały iskry, jak owoc puszcza soki,
na pamiątkę owadów i kwiatów.

Zboże, XX wiek

Pamiętam zboże jak écru, żółtoszare, z odcieniami
brązu, spalone w kłosie i źdźble, rosło na pniu,
dopóty się kłaniało wiatrom, póki się w nim
nie zanurzyły kosy powleczone srebrem,
za żniwiarzami szły kobiety, złamane w pałąk, z sierpem stępionym
rosą i podbierały z pokosa, więc zostawało rżysko, oraz garście
zawiazane powróślem;
snopy układano w mendlach, żeby mogły na wietrze przeschnąć;
na ostatku zbierano kłosy, co odpadły z kolanek zboża;
pokłosie zabierano do domu, dla koguta z haremem kur,
co rozgrzebywał zarosłą trawą z opłotków i piał z zachwytu.
(I to wcale nie był poślad).

Kurczę, jakie to wszystko było dziwne. A to, co nieprzyzwoite,
starannie zakryte, bo bezwstydu nie powinno się obnosić,
kiedy się wyjdzie przez próg na podwórko, zwane dwór.

Z nasypu kolejowego

Jeszcze słyszę gwizd lokomotyw,
co się sztachały parą, czarno-czerwone parowozy,
były też niebieskie spalinowe motorki, co się trzęsły,
pędziły po szelkach szyn spiętych śrubami z szajbą,
górá nasypu ściętego darnią, na przestrzał prześwitu
o wymiarze wąskotorowym, tj. 1000 milimetrów,
mój blues z dzieciństwa, na gryfie z podkładem torów i spał,
z Grójca, Jasieńca, Tarczyna, Piaseczna i Góry Kalwarii. Był.

Z dziecięcych wspomnień

Mam słabość do drewnianych domów.
Z bali. Pod strzechą ze słomy. Do ogródków
z malwami i pelargoniami w oknach,
pod sieciami firanek i zasłonek.
Do zarośniętych dziedzińców, w których
łazą kury, a kogut, jak dogoni, parzy.
Do płotów, co bluszcz zszywa,
a różowo-biała malwa podpira.
Powalał wieczorny zapach maciejki.
Nawet łysa ścieżka do studni była bliska.
Rozśmieszał kot, co leżał w słonecznej łacie
na ziemi, oraz pies, co chleptał wodę z miski.

O szarej godzinie lubiłem patrzeć jak
moja babcia zamykała okiennice na noc.
Latem dziadek czekał na spóźnioną jaskółkę,
żeby oborę na kłódkę zamknąć, a bramę
drewnianym skobelkiem zakleszczyć i
domknąć kamieniem, co mchem porastał.

Z pestek wierszyk

Kopana – wieś jak pestka z jabłoni albo gruszy,
Pamiątka jak (okrągłe) mirabelki, co są
słoneczkiem śliwki, a nocą półksiężycem,
Rembertów jak czereśnie, które ktoś wypstrykał,
Tarczyn niczym wiśnia na torcie, zalana na słodko,
Grójec, miasteczko paradoks z zagadką, choć tego
nie widać, jak się spojrzy na tuziemców i przyjezdnych.
(W Grójeckiem twardsze są orzechy do zgryzienia i wszystko
ciągnie się jak mleczna krówka. Niekoniecznie słodziej).

Zwyczajnie

Przeszedłem szkoły, zwykle, powszednie,
w tornistrze nosiłem książki,
zeszyty, kanapki, piórniki,

do szkoły podstawowej chodziłem wiosną i
latem polną drogą, zaś jesienią i
zimą wyjeżdżałem do miejsc, gdzie zdrój wód
nie był czysty jak *ślachetne zdrowie*,

a kiedy zzuły się śniegi i termometr poszedł w górę,
powracałem do dróg zasypanych płatkami z sadów i
byłem znów tu, gdzie dom, studnia,
pies, komórka, zamiecione podwórka,
paseczki miedz jak linie w zeszytach
do języka polskiego, w którym się
rozpisywałem od lewej strony do prawej;
wąski margines należał do tego, co nauczał i
tłumaczył, jak przed błędami czmychnąć.

Z uśmiechem pogody

Jesień dopala wszystko, a resztę mgły dopiorą.
Mróz zeszroni, niebo sypnie śnieżynkami,
przebudzi się *dziewczynka z zapałkami*,
mrozem draśnięta.

Obudzą się życzenia, co nie dzielą, a
łączą jak spójnik bez przecinka.
Powrócą bajki i baśnie oraz skazani
na przemijanie – zrobi się przyjemnie.

Życzenia

Są potrzebne jak wiersz, co pociesza,
gdy jest trudniej i nie wiadomo, jak
sobie poradzić ze smutkiem oraz nadzieją;

są pełne otuchy, ździebko onieśmiałe,
w baśniach się spełniają, pędzą z odsieczą, gdy
komuś niesiesz to, co masz w sobie najlepsze.

Zasiane w dni powszednie – na święta przesiej.

Posłowie

Swój¹

1. Swój pierwszy wiersz napisałem w 1969 roku, podczas wakacji. W tym czasie nasz dom oplótł gorzki winogron i słodki piołun.

Zaczęło się to tak.

Dzień był mdlejący od skwaru, i właśnie wtedy wyszedłem z domu na łąki. Tuziemcy mówili: *poszedł na Janówek*. Nie wiem, czy taka miejscowość jest w spisie wsi i miast Polski, ale... to jest dla mnie w tej chwili nieważne. To jest nazwa miejscowa (*toponim*). Janówek leży za plecami Pawłowic; przeszło kilometr od słynnej Kopany. Spotkać tam można: załężnioną sarnę, śmigającego zająca, bociana brodzącego przez trawy żab pełne, krowy, konie. W tamtym miejscu dużo rośnie wikliny, topól, brzoź, osik, wierzb, olszyn. Tu się dopiero czuje *kąpiel dnia* (Bruno Schulz).

Po drodze odwiedziłem dziadka Szczepana, co mieszkał za ścianą pawłowickiego lasu. Posiliłem się kromką chleba i mlekiem wystudzonym cembrowiną studni, i chłodem sieni. Z podziękowaniem zjadłem. Wytarłem usta po chłopsku i... poszedłem przed siebie. Dziadek milczał, jak ten św. Józef na obrazie, który był zawieszony nad łóżkiem w kuchni. Za dnia i w nocy oszczędzał słowa. Taka już jest natura chłopów. Mówią nie za wiele, więcej pracują; milczą dla świętego spokoju. Odwrotnie jest w mieście i dlatego teraz tak nam jest dobrze.

Łąka stała przede mną, pełna traw po kolana. W słońcu lśniły konie. Z pyśków krów ściekała pajęczyna śliny – długa jak babie lato; suche i bose. W wielkim zachwycie leżałem i nagałem sobie dobre myśli. Serce było na swoim miejscu. Wspomnienia poszły samopas. Szum traw wymieszany z szelestem liści dawał dużo do myślenia. Leniwość dnia łagodziła zmęczenie, więc nic mnie nie bolało. Wielka Tajemnica Stworzenia rozpościerała się przede mną na przestrzał. W pewnej chwili wyjąłem z chlebaka kartkę wyrwaną z zeszytu szkolnego i zacząłem pisać wiersze. Same mi się pisały. *Z powietrza*, jak mówią natchnieni poeci. Układałem słowa, a potem wtulałem się w skiby dłoni i drzemałem w cieniu dobrego drzewa.

2. W powrotnej drodze jeszcze raz wstąpiłem do dziadka. Zapukałem w drzwi. Echo w sieni mi odpowiedziało. Zajrzałem do obejść. Nie było

dziadka. Poszedłem za dom do ogrodu. Pod śliwami stał ojciec mojej matki. Między sadkiem a ogródkiem. Za plecami było pastwisko i ściana lasu z olszynami, co mają upodobania do mokradeł i łąk rozlewiskowych. Wsłuchiwał się w odgłosy pękających owoców. Przybliżał oczy do błękitu nieba. W milczeniu obchodził sadek przydomowy, na tyłach stodoły.

– Dziadku!

– A, to ty, synu...

– Przyniosłem Ci z łąk swoje pierwsze wiersze. Zaraz je przeczytam. Szybciutko wyjąłem z chlebaka garść świeżych liryków – stanąłem naprzeciw zapuszczonego sadu, gdzie chwast piał się pod koronę drzew. Mszyce wiły na listkach trąbki, w które dmuchał wiatr i stroił okolicę.

– Teraz nie mam czasu, synu. Jak będę miał przy niedzieli, to powiesz – odpowiedział dziadek.

Rękopisy schowałem do kieszeni i zawróciłem do domu. Dziadek pozostał w ogrodzie w cieniu ulubionych śliw i gruszek (klaps).

Ci, którzy pałają ciekawością i chcieliby coś więcej wiedzieć o tym, co nabazgrałem, uspokoję: moje pierwsze próby poetyckie były wedle podręcznika do nauki języka polskiego. W stylu młodopolskim, z domieszką białego wiersza. Po uczniowsku można powiedzieć, że wyczuwało się cień ręki Adama Asnyka. Otrząsałem się z Młodej Polski i patosu, choć w wierszach Asnyka był destylat myśli. Zrozumiałem, że poezję robi się ze słów, a nie z intencji. *Że jaskółczy niepokój* to jest li tylko chwyt. Adoracja to za mało, lepiej iść pod prąd do źródła. Pierwsze utwory były takie, że żadnego nie zachowałem na pamiątkę. Wszystkie podarłem i spaliłem w węglowej kuchni. Z dymem poleciały do otwartego nieba. (Nie wiedziałem, że uczyłem tak, jak w łacińskiej sentencji: *tibi et igni*, tzn. przeczytaj i zaraz spal; dosłownie: tobie i ogniowi).

3. Odczekałem – a w niedzielę poszedłem do dziadka, zabierając ze sobą wersy na czysto przepisane.

Dziadka zastałem przy stole w kuchni – czytał modlitewnik. Powiedziałem, że przyszedłem, bo obiecałem odczytać to, co nasmarowałem na Janówku. Dziadek na moją propozycję rzekł, że *W niedzielę się modli, bo to jest Dzień Pański*.

Wróciłem do domu i szukałem pociechy w warsztacie ojca. Tato, napisałem wiersze, zaraz Ci przeczytam, powiedziałem, jak człowiek zuchwały.

Ojciec, zawodowy tokarz, zbladł jak papier, bo nikt w naszej rodzinie chłopsko-rzemieślniczej nie wypowiadał się na piśmie, co chciał powiedzieć. Po chwili zaczął mnie uspakajać: *Synu, nie oczekuj pochwał za pracę. Masz dobrze pracować, a opieprzyć zawsze ciebie mogą...*

Matka o mały włos, a wpadłaby w rozpacz. Bała się, żeby o tym skandalu wieść się nie dowiedziała. Nikomu do głowy nie przychodziło, żeby to, co ludzie myślą i mówią, wlaźło na papier. Nic z tych rzeczy. Wszelkie rozmowy nie były dla reszty. Lud w mowie sprawny, zaś w piśmie niekoniecznie.

Oto jaki był początek mojej drogi literacko-dziennikarskiej.

Po raz pierwszy poczułem, że jestem *wierszogryzmołem*, jak gadał Julian Ursyn Niemcewicz, którego jeszcze nie czytałem. (Adam Mickiewicz w III części *Dziadów*, w scenie w salonie, napisze: *Niech tam stary Niemcewicz w pamiętniki wsadzi / On tam, słyszałem, różne szpargały gromadzi...*).

Wspominam wydarzenia z dzieciństwa, żeby było wiadomo, że nikt ze mną nie chciał się podzielić słowem pisanym, więc zabrałem ze sobą milczenie.

4. Swoją pierwszy wiersz napisałem w 1969 roku, w lipcu, na pastwisku, co na styku Kawęczyna i Pawłowic; konkretnie po wschodniej stronie okolic *Kwitnącej Jabłoni*.

W tym czasie, kiedy biedziłem się nad zwrotkami, za oceanem trwały przygotowania do Festiwalu Woodstock, który odbył się na pastwisku lokalnego hodowcy bydła mlecznego Maxa Yasgura w Bethel, stan Nowy Jork. Teren wybrano ze względu, że miał kształt niecki, lekko pochylonej w stronę stawu. Przypominał amfiteatr.

Hasłem sierpniowego spotkania było *Peace, Love and Happiness* (Pokój, Miłość i Szczęście).

Dwa wydarzenia. Lokalne i o zasięgu światowym. O pierwszym (na łące), osobistym, tylko ja pamiętam, zaś o drugim (na pastwisku) większość ludzi. No i dobrze. W środowisku pastewnym odbyły się spotkania. W jednym panował mazowiecki spokój, zaś w drugim obowiązywała ówczesna amerykańska zasada – *sex, drugs and rock'n'roll*.

5. Rękopisy wierszy wysłałem do Janusza Głowackiego (na adres redakcji warszawskiej „Kultury” przy ul. Wiejskiej, po parzystej stronie). Autor *W nocy gorzej widać* odpisał, że wiersze są jakie są. A *Reszta w ręku Boga, i w ogóle*².

A jednak... krztyńka, o której wspominał Autor *Wirówki nonsensu*, była (i będzie) w dłoniach człowieka, który na początku odsyłał utwory poetyckie, dołączając krótką opinię, żebym spróbował później. Że niestety. Ówczesny szymelek brzmiał: *przykro nam bardzo, że nie możemy skorzystać z nadesłanych materiałów*. Tak mnie pocieszano. Nie trwało to długo, ale po tamtych latach pozostał trwały ślad w pamięci. Jak obrzynek.

Ta murawa powraca do mnie, gdy pochylałam się nad kartką papieru albo kiedy wklepuję w klawiaturę komputera. Dopóki moje serce będzie gorące, a nogi usłużnie pozwolą mi iść na przekór losowi, wierny pozostanę łące po kolana. Tam, gdzie po raz pierwszy wszedłem w zegar słoneczny, jakże inny od tego, co rozbrzmiewał na rynku w Grójcu, gdzie się urodziłem. (Dawne łąki z pospolitymi kwiatami, a ile miały w sobie uroku, i nie świerzbila ręka, żeby je zrywać – oprócz dziewczynek – co pochwałam. Dopuszczano do nich albo zwierzęta, które traktowały to miejsce jak pastwisko. Ileż tu można było spotkać owadów: pszczoły, osy, trzmiele, motyle, muchy. Kubki ziemi świadczyły, że krety nie oszczędzały darni. Przepraszam, że o tym wypasie nie potrafię pisać kwiecieście, jak to czynili drzewiej, że rosa nie siada). Od tamtego czasu napisałem ponad tysiąc wierszy – dzięki temu mogę przebierać jak w owocach. W zależności od sezonu, oddziela się do łubianek, platonów, skrzynek albo wiklinowych koszyków.

6. Moje sadownicze zapiski rozpisane są między Kopaną, Pamiątką, leciutko zahaczam o Las Lesznowski, Rembertów, Kawęczyn, Pawłowice, Racibory, Wylezin, Tarczyn, Piaseczno oraz Grójec, gdzie 23 czerwca 1954 roku zawiązano mój pępek. Niby jestem *swój*, choć nie do końca. Nie mogę powiedzieć jak tuziemcy – *Albo mi to źle tutaj!*

Otrząsnąłem się z wierszy.

Dzielić się poezją – wielka frajda, choć do końca nie wiem, czy w prozie życia nie drażnię.

Wiersze pisał Jan Kochanowski, Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Cyprian Kamil Norwid.

A za oceanem Emily Dickinson (1830–1886) wiersze cichutko chowała do biurka, w wolnych chwilach pielęgnowała ogród. Amerykańska poetka nosiła białe suknie, z przyjaciółmi prowadziła konwersację przez uchylone drzwi. A kiedy ją sąsiadki zapraszały do ogrodu, to posyłała na srebrnej tacy biały kwiat lub wiersz pełen polotu.

7. Ja, Czesław Mirosław, czasami piszę wierszyki, felietony, wspomnienia, opowiadania, redaguję antologie, peregrynuję jak tragarz zdań. I rozmyślam, żeby ożywić pamięć³.

Dziękuję za wszystko, co przeżyłem oraz przeszedłem – mam się czym dzielić⁴.

Innymi słowy, jestem czytelnikiem – pisanie to rzecz wtórna, która wychodzi. Czasami, jak słowa, co się od nas odrywają i czekają, żeby się ktoś nad nimi pochylił, jak podczas pielienia ogródka.

Albo jeszcze inaczej: wschód to Kopana, zachód Pamiętka, południe Grójec, a północ Tarczyn. Niedaleko od Ursynowa, a wirtualnie śmig.

Na pewne bym tego nie napisał, gdyby nie moja żona, która stworzyła mi warunki do pracy i życia. W ramach długu wdzięczności wierszyk jak dziękuję:

*Nie wiem, gdy patrzę
na Graszkę, czy wybiegła
z bajki, czy baśni.
Jaki czar ją owionął?*

Oto moja magnifika.

¹ *Śwój*, „Wiadomości Tarczyńskie. Niezależny Miesięcznik Regionalny” 2017, nr 1–3, Styczeń–marzec 2017. Tekst został przedręgowany na potrzeby druku zwanego.

Używam słowa łąka zamiast synonimów takich jak: błonie, łączka, niwa, pastewnik, polana, polanka, połonina, popas, rozłóg, wygon, wypas. Czyżnie, bo w dawnym powiecie grójeckim tak mawiano i nie szukano zamienników ani zdrobnień.

² To była parafraza z Juliusza Słowackiego: *Więc – a więc piszmy, niech rym będzie świeży! / Reszta od Boga i ludzi zależy* (Beniowski). Ciąg dalszy. Pieśń X, w: *Pisma pośmiertne Juliusza Słowackiego*, tom II, Wyd. staraniem A. Małeckiego, z drukarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Lwów 1866).

W owych latach nie znalazłem tego, co napisał Juliusz Słowacki: *Dopókiś młody, bawia cię ballady, / Poezja gminna nadzwyczaj zachwycia, / Lubisz w wierszykach chmury, księżyc, gady, / Znajdujesz, że jest jakaś tajemnica! W mgle, w której wiersze brzęczą jak owady / I ubrylantują myśl blaskiem księżycy; / I myślisz, że to sam poeta roi, / Skrzy się i błyska, i leci?... On stoi* (Beniowski. Pieśń III). Dla mnie to był czas nasłonecznienia, a nie księżycy i zwózki gwiazd; dużego wozu, za którym się ciągnęły małe wozy.

Nie wiem, czy Januszowi Głowackiemu chodziło o mobilizację, czy o to, żeby mieć z głowy korespondenta-poetę?

Uśmiecham się podczas redagowania przypisków. Dlaczego? Bo starzeję się i przypominam zasuszonego świerszcza, który – jak w wierszu Jana Kochanowskiego *Muza* – boruje pieśni za plotem, ku rozczarowaniu wierszoklety. Jan z Czarnolasu pisał gęsim piórem: *A poeta, słuchaczów próżny gra za plotem, / Przeciwiągając się świerszczom, które nad łąkami / Ciepłe lato witają głósnymi pieśniami*.

³ O nienasyceniu czytelniczym pouczające uwagi poczynił jeden z profesorów, który wyszedł z zapadłej wsi na południu Polski: (...) *Matce przede wszystkim zawdzięczamy nasz głód kultury. Za jej przyczynieniem się upodobanie do książek ugruntowało się głęboko w naszej rodzinie. Rozłożyło się ono różnie, według zainteresowań: jednych pociągnęła więcej beletrystyka, innych lektura kształcąca, głównie rolnicza. Tak czy owak, nas już nie zachęcać należało do książki, ale odciągnąć od niej, gdy zabierała czas z ujmą dla zatrudnień domowych*.

Zaznaczyć tutaj można nawiasowo, że okazy namiętnych czytelników nie należą już dziś na wsi, jakby kto może mniemał, do rzadkości. Owszem, zetknąć się z nimi można przy bliższym nieco zżyciu się z okolicą. Ale właśnie dlatego uchodzą one przeważnie uwadze okolicznych majstrów od pozaszkolnej oświaty ludowej, którzy w terenie są donajmymi i krótkotrwałymi gośćmi. Bo tak jakoś zwykłe się składa, że miłośnicy lektury rekrutują się nie spośród rezolutnych, hataśliwych mądrałi, lubiących się przepychać na przodek, ale

szą raczej płochliwi, w sobie schowani. Trzeba ich wyszukać, rozeznać ich wartość właściwą i umieć użytkować. Oddziaływają oni w większym kręgu przyjaciół lub sąsiadów, już to udzielając swej zapobiegliwie zdobytej wiedzy, już też – co donioslejsze – pociągając młodszych przykładem na tę samą drogę. Mam wrażenie, że w naszej „polityce oświatowej” należałoby pod tym względem przystąpić nieco zwrotnie, mniej marnować ludzkiego kapitału. (...) (Stanisław Pigoń, *Z Komborni w świat. Wspomnienia młodości*, Wydawnie V, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1983). Raczej mnie odciganą od czytania gazet i książek. Rodzice uważali, że nic z tego dobrego nie wyniknie. Być może lektury nadobowiązkowe spowodowały, że minąłem się z powołaniem (rzemieślniczym, a potem pedagogiczno-wychowawczym). Ale tego nie żałuję. Wręcz przeciwnie!

⁴ Mój Krajan Władysław Leszczyński (1875–1963), zięć Wojciecha Górskiego, małżonek Cecylii Górskiej (1878–1959), administrator gospodarstwa rolnego, które składało się z trzech majątków (Kopanie – 201, 6 ha, Bromin – 72, 8 ha, Ksawerowa – 67, 2 ha), napisał pochwałę przysłuchiwania się, czyli wstrzymywania się od mówienia, tj. *nie mówić więcej, niż trzeba*. Właściciel 610 mórg (341, 6 ha) uważał, że dzięki słuchaniu czegoś chętnym uchem, ćwiczy się uwagę i rozważa to, co inni mają do powiedzenia. A przy okazji człowiek odnajduje swoje miejsce w szeregu. Po spotkaniu w 1905 roku w Krakowie w pensjonacie dla inteligencji wydał opinię: (...) *Przedstawiłem się wszystkim przy stole obiadowym i przysłuchiwałem się bardzo ciekawym rozmowom, milcząc oczywiście, jako ten rolnik od pług, doju i gnoju. (...)*. Dodałem przy tym, a właściwie poprosiłem, *by nie poczytywano mi tego mojego «milkiwego nastroju» w sposób inny, jak ten, że ja istotnie, jako ten rolnik «od doju i gnoju», nie posiadam wiadomości tak ciekawych, by nimi zainteresować otoczenie i dlatego wolę nie mówić, a natomiast słuchać, by w ten sposób łatwiej przysporzyć (...)* (Praca i przeżycia w Kopanie. *Grójckie we wspomnieniach. Antologia*, Wybór i opracowanie Zdzisław Szląg, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, Oddział w Grójcu, 2003). Tak napisał jeden ze 120 ziemian z dawnego powiatu grójckiego. Przypomnę, że Zenon z Kition (333–261 p.n.e.) uczulał: *Natura dała nam jeden język, a dwójce uszu, abyśmy słuchali dwa razy więcej, niż mówimy*.

Na zakończenie jeszcze jeden passus mojego ziomka z Kopanie: *W połowie 1946 [?] władze polskie po ogłoszeniu reformy rolnej zmuszają mnie do opuszczenia powiatu wraz z rodziną. Wyprowadzam się w Skierniewickie do siostr Janiny i Marii, zamieszkujących wówczas w Olszynie, gm. Korabowice, kilkumorgowej nieruchomości wraz z kawałkiem lasu, po zmarłym śp. Ojcu. Stąd wydalam się co tydzień do Warszawy w celu zakupu i sprzedaży artykułów (...). Siedem kilometrów z Olszyny do stacji Staro-Radziwiłłów przebywam z walizkami pieszo, chodząc po piętrach, byle sprzedać nabyte towary. Z Warszawy jadę do Piaseczna, by w pobliżu odebrać zamówione do sprzedaży rurki z kremem, ciesząc się wielkim uznaniem wśród nabywców, jako użytkownik dobrze spreparowane. Tam nocuję u znajomych na werandzie, na rozkładanym tapczanie polowym, nawet w porze jesieni. Po upływie półtora roku wyprowadzamy się z żoną i córką do Zalesia Dolnego na stałe, przyjmując w Warszawie pracę referenta oświatowego w Państwowym Nieruchomościach Ziemskich, późniejszych Państwowych Gospodarstwach Rolnych. Na tym stanowisku powołuję do życia w Okręgu Warszawskim 31 świetlic, tyleż przedszkoli i dziecięcych, zakładając dla pierwszych i drugich biblioteki wędrownie. Handel okrzynny prowadzę w dalszym ciągu, a poza nim dorabiam tłumaczeniami z języka rosyjskiego, sprzedając resztek mienia rolniczego, byle sprostać potrzebom utrzymania rodziny. (...).* W początkach 1948 r. wstępuję do Min[isterstwa] Budownictwa, najpierw do Komitetu Odbudowy Wsi, zaś potem do Departamentu Planowania, Wydziału Sprawozdawczości. (...) Z Departamentu Planowania w Ministerstwie Budownictwa zostaje przeniesiony do innego Ministerstwa Budownictwa, którego nazwy nie pamiętam, w którym praca moja była ściśle związana z moją zawodowością rolniczą. (...) Zamiłowany i to nieprzeciętnie, we wszelkim przywracaniu ładu tam, gdzie w całym moim życiu zostawałem bezład, co zawdzięczać memu kochanemu Ojcu, chętnie jęłam się tej pracy, oświadczając jedynie, że nie da się jej wykończyć za lada dmuchnięciem, że będzie ona potrzebowała dłuższego czasu, lecz po upływie roku wykonałam ją ku pełnemu zadowoleniu naczelnika. (...) Później w tymże wydziale wykonywałem jeszcze bardzo rozmaite prace zlecane mi, ale muszę zaznaczyć, że musiałem prosić władze wydziału, by dano mi coś do roboty, bym nie siedział beczynninie. (...)

W tym czasie pan minister zarządził pożegnalne zebranie dla wszystkich odchodzących z pracy rencistów, wśród których ja byłem najstarszy, a kto wie czy nie najbardziej gadatliwy, powiedzmy grzeczniej, uzdolniony do przemawiania na wszelkich uroczystościach. (...) W X 1958 [roku] przeprowadzamy się żoną z Zalesia Dolnego do Państwowego Domu Rencistów w Skolimowie (pow. piaseczyński), które to miejsce uznaliśmy dla nas obojga za konieczne i lepsze od Zalesia Dolnego (...).

Cytuję, żeby przypomnieć o tym, o czym nie mówiono w szkole w Pamiętce ani na wsi, choć większość majątku została rozparcelowana i w ramach długu wdzięczności warto wskazać, dzięki komu otrzymali ziemię. Przecież nieraz przechodziłem alejami (świerkową, modrzewiową), co oddzielają sad i pola uprawne, i mijalem Pałac na wzgórzu, który spozierał na Kopanie. Była Księżzowola, Pamiętka i Ksawerów oraz Brominy. A nie było nikogo, kto by powiedział o Władysławie Leszczyńskim, ziemianinie nie spowienierzanym przez to, co się stało po 2. wojnie światowej. Nie powinno się oszczędzać na prawdzie, bo potem jest wstyd. W tym miejscu powinien być wtręt o tych, co otrzymali dzięki parcelacji ziemię z dawnego folwarku Władysława Leszczyńskiego. Ilekroć pisałem wierszyki, to czulem zza plecami: *Młodości mojej niebo i tortury! / One zwinęły osadę mych skrzydeł, / I wyłamały do góry, / Że już nie mogłem na dół skrócić lotu* (Adam Mickiewicz, *Dieciady*, część IV). Może nie dość tak było, bo mocno kulami się zapierałem ziemi i szedłem przez życie, Lelum polelum. Na przekór tym, którzy się tak litowali nade mną – więc byłem przypisany do porażki.

Polskie klechty ludowe zwykło się kończyć dwuwierszem: *I ja tam byłem, miód i wino piłem, / Po brodzie się lato, w głowie nie zostało*, (...). Tak włościanie sobie dokazywali. Aż trzeba było Adama Mickiewicza, który żdzibko to poprawił i uszlachetnił, i wlało na papier: *I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem, / A com widział i słyszał w księgi umieściłem* (koniec *Pana Tadeusza*). W moim przypadku było inaczej – napisałem garść wierszyków o Kopanie, tam gdzie...

Mówiąc szerzej – o okolicy Kwitnącej Jabłoni.

Spis treści

(Na stronie tytułowej zamieszczono bilet, który...) 3

Addenda sadownicza 5

Antenaci 7

Á propos 7

Było 7

Chyba 8

Czereśnie z okolic Kwitnącej Jabłoni 8

Czub czereśni 9

Darń 9

Drzewa wysokopienne 9

Dzieciństwo 10

Etymologii nazwiska 10

Furtka 10

Gdzie czereśnie, wiśnie...? 11

Gdzie te czasy? 11

Gminny szpak 12

Grójec 12

Grójecki wtřęć 12

Jak 13

Jaskółki 13

Jeść 14

Jestem 14

Kopana 15

Letnia nota 16

Lubiłem	17
Moja okolica	17
Nieraz	18
Nie udaję się w drogę	19
Nota ze szlaku wąskotorowego	19
Odkrycie na miarę szerokich torów	22
Owoce	22
Pamiętam	23
Piszę (głosa na marginesie)	23
Pobudka	24
Porządek	24
Powrót do pierwszych wierszy	25
Problem	25
Przegląd sadu	26
Przypisane miejsce	26
Pytanie na niegrzeczne czasy	26
Rozkurz w sadzie	27
Rozstanie	27
Rzecz o starych pociągach	28
Sad	28
Sad przydomowy	28
Sadownicze refleksje	29
Sadza	29
Sam smak!	30
Sekrety warsztatu	30
Sen jak fiszki	30
Sen z 13 na 14 sierpnia 2017 roku	31
Staram się	31
Skąd jestem?	32
Słoma	32
Snopek	33
Sny jawą tkane	33
Spostrzeżenie	34
Sprzed lat	34
(Stare) Jabłonie z Kopanej	34

Starocie	35
Stary sad	36
Strach	37
Straty	37
Strumyk	37
Stryszek	38
Szkolna nauczka	38
Świt	39
Targ	40
Topole	40
Tu	41
W dzieciństwie	41
Ułęgalka	42
Wieś	42
Wieś powraca	43
Wspominam	43
Żłób	44
W PRL-u	44
Zapisek konstanciński, 2009	45
Zapisek uczniowski	45
Żyłetka	45
Zawróciłem	46
Zboże, XX wiek	47
Z nasypu kolejowego	47
Z dziecięcych wspomnień	48
Z pestek wierszyk	48
Zwyczajnie	49
Z uśmiechem pogody	49
Życzenia	50
Posłowie. Swój ¹	51

